

IV (część piąta i ostatnia) — Rodion

Cudowna noc, księżycowa, prawie że tropikalnie upalna. Zew, zew nocy jeszcze silniejszy od powinności i opanowania. I światło księżycy nieco żółtawe, piękne, opadające na miasto poświatą. Wiatr, tak cudownie silny, szeleszczący, potężny huragan prawie tak głośny jak żądza. A wszystko to krzyczy, woła i wzmacnia emocje.

Dokładność, precyzja siedzi wraz ze mną i obserwuje. Czeka tak jak ja, ramię w ramię znosi katusze mijających minut. Bo duch chciałby się wyrwać, rzucić w wir zdarzeń. Cholerna zapobiegliwość!

Obserwowałem to miejsce od kilkudziesięciu minut, wyglądało tak samo jak ostatnio i poprzednim, i jeszcze wcześniejszym razem. Nie zmieniło się nic, choć wiedziałem, że dzisiejsza noc będzie inna. Zbyt długo czekałem, aby teraz nawalić. Księżulo poszedł w odstawkę, bo tego wymaga szeroko zakrojony pomysł, tak to właśnie miało się zdarzyć. Ja, dziś, tutaj. On poczeka, nie ucieknie. O nie.

Plan nie miał żadnych słabych punktów, sprawdzany był pod każdym możliwym kątem. Ona mogła nie wiedzieć, mogła udawać, jednak w każdej z tych sytuacji wiedziałem co należy czynić. Ona po prostu nie była przygotowana, nie miała prawa być przygotowana. Nie gdy szaleniec się ujawnia, nie, bo szaleńców się ignoruje tak jak proroków. Później się z tego powodu cierpi. Oczyszcza.

Nazywali ją różnie, ostatnio znana jako Zuzanna Frigg, obywatelka przestępczego półświatka, bo najciemniej bywa pod latarnią. Wywiad wskazywał na kolejną łzawą historię, o biednej dziewczynie wciągniętej w narkotyki i inne tego typu pierdoły. O dziwo całość była na tyle mało ckliwa, że byle kto nie potrafił poznać się na oszustwie. Nikogo zresztą to nie obchodziło. Nikogo oprócz mnie.

Wytaczała się teraz z kolejnej bezimiennnej mordowni, jak każdego dnia. Wyuczyła się rutynowych schematów. To największa zguba ludzkości. Kiedy wpadasz w nawyk przychodzą potwory. Siedziałem na dachu i widziałem to wszystko, tak jak wiele razy przedtem. Spojrzałem w gwiazdy, pozbyłem się jakichkolwiek myśli. Zen idealne. Szybko i cicho zszedłem klatką schodową. Wiedziałem, że Zuzanna zaraz przestanie się zataczać, przyspieszy krok a dwie ulice dalej zacznie kluczyć. Wynająłem już pokój dla nas dwojga, małe, ciasne pomieszczenie w środku ulicznego labiryntu. Otworzyłem drzwi i wypadłem na ulicę. Musiałem się spieszyć, tak mało czasu, tak mało! Trzeba przygotować się na nasze wspólne spotkanie, nie można się przecież spóźnić na pierwszą randkę. Ruszyłem skrótem nie zwracając na siebie niczyjej uwagi.

Zaczął siąpić nieznośny, ciepły deszcz. Po kilku chwilach widziałem zbierające się na chodnikach kałuże. Dobra pogoda, świetna! Zmyje wszystkie ślady, oczyści te drobne niedoskonałości. O tak. Każde przydatne zrzędzenie losu warto powitać z uśmiechem. Mój plan nie ma najmniejszych luk. Nawet aurę wkalkulowałem w stosowne ryzyko. Nie stać mnie na popełnienie błędu, nie w tak ważnym momencie. Nawet najlepszy i idealny projekt okazuje się miernym i pełnym dziur kiedy sprawdzi się go kilka razy. Ja swój sprawdzałem aż do obrzydzenia. Jeżeli zachowam precyzję, albo wycofam się w odpowiednim momencie, nie spotka mnie nic złego.

Szedłem, nie zwracając niczyjej uwagi...

- Utrzymać kontakt wzrokowy. Nie interweniować!

Głos wydobywający się z hologramu zamilkł, pozostawiając jedynie niewielki, świetlny prostokąt lewitujący na wysokości twarzy Obserwatora. Snajper idąc w ślady kolegi wyłączył systemy maskujące. Mimo to mało kto dostrzegłby go na dachu budynku. W gęstwinie kominów i anten był praktycznie niewidzialny. Wkomponował się idealnie w otaczające go środowisko. Cóż, lata praktyki robią swoje... Obserwator spojrzął po raz kolejny w kierunku wysokiego i wyraźnie odcinającego się od okolicy budynku jednej ze znanych sieci handlowych, za którym zniknął właśnie Weiss. Błogosławił w duchu twórcę infrawizyjnych soczewek kontaktowych. Okolica była zbyt ciemna, aby obserwować ją w zwyczajny sposób. Dzięki Bogu wyłączono też w okolicy większość świateł, także nawet wielkie neonowe powitanie skierowane do klientów było dziwnie smutne i ponure. Ognista sylwetka człowieka zniknęła w którejś z bocznych alejek. Obserwator odwrócił głowę, wzruszył ramionami w geście rezygnacji, po czym wyciągnął rękę w stronę świetlistego prostokąta. Postukał kilka razy palcami w hologram, zmieniając jego kształt.

- Otwórz portal. Wysłałem koordynaty. – Przekazał krótko, delikatnie kreśląc w powietrzu niewielki łuk. Hologram zamigał na zielono w odpowiedzi. – Trójka i Ósemka są już na miejscu. Piątka czeka na stabilizację. – dodał w kierunku swego towarzysza broni.

Snajper spojrzął na swojego obserwatora-do-pary przez zestaw osłon i membran maski ochronnej. Spokojnie wyłączył noktowizję w okularach, strząsnął ręką krople zbierające się na lufie karabinu. W jego zawodzie liczyła się zimna krew i opanowanie. Wykonywane wielokrotnie gesty, powtarzane czynności, ciągła rutyna i dążenie do perfekcji, sprawiały, że tak przeszkolony żołnierz był w stanie poradzić sobie w najcięższych warunkach. Działął inaczej niż reszta, myślał inaczej, był przerażającym elitarnym samotnikiem. No i trafił w głowę z odległości czterech kilometrów. Nużyła go więc ta banalna i przebiegająca zgodnie z planem akcja. W głębi ducha liczył na jakiś niespodziewany rozwój zdarzeń, coś co wytrąci wszystkich z równowagi a jemu da kolejną dawkę niezbędnego do życia chaosu. Szybko jednak opanował to pragnienie, przybierając grubą warstwę spokoju i delikatnego ignorowania otaczającej go rzeczywistości.

- Ta jest! – Szczeknął głos wydobywający się z hologramu – Przy odrobinie szczęścia będziecie mieli kanał za jakieś osiem sekund. Utrzymam go tak długo jak się da. Dacie radę przejść. Potwierdzam aktywację, ustalam bezpieczne dawki... Ok.! Zaczynamy. Bez odbioru.

- *Parszywa pogoda* – Westchnął snajper. Głos wydobywający się przez system filtrów był zniekształcony i nieco niewyraźny. Wprawdzie mógł używać komunikacji BPM, ale istniała szansa na przechwycenie sygnału przez wroga. Akcja miała wysoki priorytet, niemałe koszty poniesiono właśnie w kwestii bezpieczeństwa i anonimowości wszystkich członków oddziału. Nie można było tego zepsuć głupim impulsem wysłanym w eter.

- Dobrze, że ustabilizowała się nieco ta zawierucha energetyczna. No, już czas, zbieramy się...

Po chwili hologram zaświecił nieco jaśniej, poszerzył się przyjmując kształt zbliżony gabarytami do drzwi. Snajper i obserwator aktywowali systemy maskujące, przybierając wygląd ludzi utkanych z mgły, nocnych zjaw, albo morderców idealnych. Zależnie kto patrzył. Z ich punktu widzenia, był to jedynie wymuszone wymogami bezpieczeństwa odruchy, wielokrotnie wpajane podczas intensywnego szkolenia. Oni sami nie byli niczym ponad świetnie przygotowany zestaw odruchów. Przekroczyli portal w milczeniu. Furtka zamknęła się za nimi bezszelestnie.

Ciche stąpnięcia rozchlapały wodę w kałuży. Złe oczy omiotły stare ściany nienawistnym spojrzeniem. Przenikliwy syk przerwał nocną ciszę. Zgrzyt stali. Nadchodzą... Oni, nad...

Sala przesłuchań była dosyć obszerna i wbrew pozorom sympatyczna. Jasne ściany dawały stabilne oparcie wzrokowi, wiatrak na suficie leniwie mieszał wilgotne i ciepłe powietrze. Na środku stał stół, ustawiony swym bokiem do weneckiego lustra. Nie trudno było zgadnąć do czego ono służyło. Przy stole znajdowały się dwa krzesła, przy czym jedno solidnie przymocowane do podłoża. Był to pokój bez okien. I bez nadziei.

Weiss siedział spokojnie, aż nazbyt spokojnie. Rozkuto go na czas przesłuchania, jednak strażnicy stojący w pogotowiu nie dawali poczucia wolności. Mimo to Jakub był zrelaksowany, jakby roztargniony i zamyślony. Położył ręce na stole, tak aby w żaden sposób nie wyglądać podejrzanie. Patrzył się uporcezywie w jeden punkt na ścianie, tak jakby chciał wzrokiem wywiercić sobie drogę ku wolności.

Śledczy wszedł do pokoju. Drzwi znajdowały się za plecami Jakuba, tak więc przez dłuższą chwilę nie widział on z kim ma do czynienia. Nie przeszkadzało mu to w żadnym stopniu. Wiedział, że jest czymś więcej niż człowiekiem, ufał, że będzie potrafił wykorzystać swoją przewagę. Siedział spokojnie, przyjmując nic nie znaczący wyraz twarzy. Śledczy szepnął coś do strażników, ich buty zadudniły, po chwili ciężkie drzwi zamknęły się z hukiem.

- Dzień dobry Jakubie – Młoda, atrakcyjna kobieta uśmiechnęła się szeroko. Weiss milczał, nawet nie poruszył się aby na nią spojrzeć.

- Napijesz się czegoś? – Zapytała niezrażona brakiem odpowiedzi. Weiss nadal zachowywał całkowity spokój, ignorując umyślnie jakiegokolwiek formy nawiązania z nim kontaktu. Usiłował być jak najmocniej odpychający, jak najbardziej bezduszny i nieludzki a jednocześnie potwornie fascynujący.

- Zrozum, próbujemy dociekać prawdy... Chcemy sprawiedliwości, całe to zajście to pewnie pomyłka, proszę...

Im mocniej starała się nawiązać emocjonalną więź z przesłuchiwanym tym dalej uciekał on w głębie swego umysłu. W pewnym momencie zabrnął tak daleko, że stracił zupełny kontakt z rzeczywistością. Na szczęście oprzytomniał natychmiast. W głębi ducha był zły na siebie. Jednym niepohamowanym szlakiem myśli mógł zaprzepaścić cały dotychczasowy trud. Przesłuchująca truła kolejne niezliczone formułki, próbowała różnych zagrywek. Weiss obserwował to z niemałą fascynacją mieszaną z rozbawieniem. Jeżeli sądzili, że połasi się na tak takie chwytły, byli w ogromnym błędzie. Wreszcie wyraźnie poirytowana i zniechęcona kobieta wyszła. Po chwili do pokoju wszedł jej kolega po fachu. On przyjął inną metodę, grając w starą jak świat wersję z dobrym i złym policjantem. Weiss nie przesunął się nawet o milimetr. Nadal patrzył w ten sam uprzednio obrany punkt na ścianie.

- Wiesz co, nie musisz się już chować. Mamy wszystkie potrzebne informacje. Twoi zwierzchnicy zaczęli sypać, powiem krótko: masz przesrane. Przyznaj się lepiej, kończ tą farsę.

Milczenie i obojętność. Policjant zaczynał wytaczać coraz cięższe działa. Groził więzieniem, odwoływał się do sumienia, do religii, do powinności. Pieprzył o pokrzywdzonych rodzinach, o moralności.

Gestykulował zawzięcie, często akcentując swoje wypowiedzi uderzeniem pięści w stół. Weiss nadal się nie poruszał.

- Patrz na mnie jak do ciebie mówię, skurwysynie! – Policjant sięgnął granicy swoich możliwości. Poderwał się w szale z krzesła i chwycił Weissa za głowę. W tym momencie cały jego gniew wywiedziony z nabrzmiałego ego, cała wściekłość została sownie ukarana. Złamał zasady gry, popsuł nastrój. Jakub nie lubił takich ludzi. W tym jednym spojrzeniu policjant wychwycił coś co natychmiast osadziło go w miejscu. Bezwiednie puścił Jakuba, opadł bezsilnie na fotel. Weiss poprawił się powrotem przyjął obojętną pozycję. Po chwili znów był sam w pokoju. Najwyraźniej dawka spojrzenia pełnego niewyobrażalnej wręcz nienawiści była wystarczająca. Weiss nie musiał robić wiele, aby okazać swoją wyższość. Strażnicy weszli po chwili, zakuli go powrotem i poprowadzili do celi. Nie stawiał oporu, wbijając spojrzenie w podłogę. Gdy zamknęły się drzwi, położył się na prycy. Potrzebował chwili skupienia.

Łuna młodego pożaru rozświetlała okolicę. Weiss siedział na dachu zauroczony, zapatrzony w szalejący żywioł. Słyszał szum ognia, koił się jego dźwiękiem. Oczyma wyobraźni widział piekło, niewiele ustępujące swym urokiem tonie rozpalonego termitu. Wszystko to trwało jedynie krótką chwilę. Nie mógł zapomnieć o swojej misji, gdzieś na dnie świadomości czyhała na niego przykra prawda. Przegrał. Nie z własnej winy, on był wszak przygotowany. To Zuzanna zawiodła pokładane w niej nadzieje, Weiss był bezradny. Ostatnia szansa minęła bezpowrotnie, w świecie nie pojawiła się ta drobna iskierka dobra, świadcząca o wypełnieniu moralnego obowiązku. Dusza Jakuba była rozdarta pomiędzy złość, a prawdziwy żal i współczucie.

Nie było czasu na roztrząsanie takich drobnych szczegółów. Ogół planu wymagał zachowania ostrożności aż do ostatniej chwili, a następnie utrzymywanie gotowości do czasu zażegnania jakichkolwiek możliwych komplikacji wynikających z wykonania planu. Weiss musiał szybko ulotnić się z miejsca zbrodni, najlepiej pozostając niezauważonym. Wszelkie rozważania i rozterki emocjonalne odpyływały wraz z każdym pokonywanym stopniem. Kiedy Weiss wyszedł na ulicę, był znów pewny i spokojny.

Wokoło zaczęli zbierać się ludzie. W oddali słychać było syreny straży pożarnej. Natychmiastowa ucieczka nie uszłaby uwadze gapiów, tak więc Jakub postanowił wmieszać się w tłum i poobserwować sytuację, aby ulotnić się w najbardziej dogodnym momencie. Tłum wchłonął go tak jakby był jego odwieczną częścią. Przeciskał się, sumiennie rozdając dookoła szturchnięcia i kopniaki. Kiedy wreszcie zapracował sobie na najbardziej prestiżową pozycję, wyjął telefon i zaczął referować bliżej nieokreślonego odbiorcy całe zajście. Szala goryczy się przelała, tłum zaczął na niego napierać, aż wreszcie Weiss w udawanym przestraszu i desperacji zakończył rozmowę, a następnie przyspieszonym krokiem udał się w mrok najbliższej ulicy. Poleciało za nim kilka kamieni i niezliczona ilość przekleństw. Syreny stały się coraz głośniejsze, migotliwe koguty majaczyły na horyzoncie. Ledwo działająca latarnia oświetliła twarz Weissa, podkreślając jego szyderyczy uśmiech. Był wolny, bezpieczny.

Za latarnią było dziwnie ciemno. Weiss uznał ten widok za miraż spowodowany własnym zmęczeniem. Wszedł w ten mrok odważnie, aż w końcu otchłań go pochłonęła. Zobaczył miliardy gwiazd.

- Mamy go! Cholera, mamy!

Obudził się w obszernej sali. Właściwie jego umysł najpierw zarejestrował tępy ból pulsujący w skroniach, dopiero później przyswoił informację o miejscu przebywania swojego właściciela. Po chwili poczuł odrętwienie w kończynach i z przerażeniem stwierdził, że nie jest w stanie nimi ruszać. Był przywiązany do łóżka, szerokie pasy skutecznie dusiły w załączku jakiegokolwiek formy oporu.

- Odepnijcie go.

Ludzie w czarnych strojach podeszli i powoli zdjęli krępujące go więzy. Czyjeś ręce posadziły go i podtrzymały, aby się nie przewrócił. Ktoś podał mu szklankę wody. Weiss wypił ją łapczywie.

- Nie będziesz sprawiał problemów...

Zmysły Jakuba powoli wracały do stanu, w którym możliwe było uwierzenie im. Weiss wreszcie rozpoznał głos, który do niego przemawiał. Ksiądz. Marek Ksawery. Nie było czasu na zastanawianie się nad zaistniałą sytuacją, analizowanie obecnego położenia. Tylko jedno, jedyne pytanie cisnęło się na usta Jakuba: „Co tu się dzieje?”. Gdzieś daleko, na horyzoncie świadomości majaczyło przerażające stwierdzenie, ściana zbudowana z grubych na trzy metry żelbetonowych liter. Zawiodłem.

- A żebyś się, kurwa, nie pomylił – Wychrypiał Weiss i zaniósł się suchym kaszlem. Głos jego rozmówcy dochodził gdzieś z tyłu, jednak Jakub nie odwrócił się w jego kierunku. Wolał nie wykonywać zbyt gwałtownych ruchów. Bał się, że spadnie z łóżka na którym z trudem siedział.

- Nie jesteś niczym wrogiem.

Znów ten sam głos, paskudnie miły i przyjazny, dochodzący tym razem ze wszystkich stron naraz. A może to halucynacje? Weiss skrzywił się i zachwiał. O mało co nie zleciał na podłogę. Padło jednak szybko: „Przytrzymajcie go” i w mgnieniu oka para silnych dłoni utrzymała Jakuba w siedzącej pozycji. Kiedy uspokoił się nieco i ustabilizował swoją pozycję, podpora bezszelestnie ustąpiła.

- To czym jestem? Przyjacielem zaproszonym na herbatkę? – Spytał ponuro, wpatrując się w czubki swoich butów dyndające nisko nad posadzką.

- Sojusznikiem – Odparł głos po chwili namysłu, bardzo precyzyjnie ważąc dobrane słowa. – Cennym sojusznikiem.

- I każdego sojusznika walicie po łbie? Nie łatwiej było wysłać zaproszenie?

Ksiądz okrążył łóżko i stanął przed Jakubem. Wyglądał nieco starzej niż zwykle, najwyraźniej ostatnimi czasy miał wiele na głowie, pewnie nie spał od kilku dni a jego wycieńczony organizm dawał o sobie znać. Mimo to w jego ruchach była niezwykła pewność i sprężystość, a oczy błyszczały blaskiem, jakiego Jakub jeszcze nigdy nie widział u swojego znajomego.

- Sytuacja wymagała natychmiastowej reakcji. Poza tym sam wszedłeś w portal...

- W co? – Wypluł z siebie z mieszaniną irytacji i zdziwienia. Podniósł głowę i przeszył księdza

wzrokiem. Zaczynał się gubić w całej tej skomplikowanej układance żartów i mnogich kombinacji. Wolał, aby wyłożono wszystkie karty na stół.

- I sam możesz stąd wyjść – Ksiądz kontynuował omijając usłyszane pytanie szerokim, myślowym łukiem. - Ale tamci polują na ciebie. Wiesz, wprawdzie masz wyjątkowe predyspozycje do usuwania problemów zalegających na drodze, jednak nie polecałbym wystawiać teraz nosa z kryjówki. Musiałbyś mieć solidniejsze wsparcie.

Weiss zamarł. Oto w tym jednym zdaniu czał się solidny fakt, wobec którego cała jego dotychczasowa ideologia musiała zostać znormalizowana. Oni? W takim razie ksiądz nie miał nic wspólnego...? Chyba że kłamią, tak, kłamią, próbują zmieszać tropy... Jakub uspokoił się nieco, postanowił przeczekać trudny moment i spróbować odnaleźć głębszy sens leżący u podstaw całego tego zajścia.

- Teraz dostanę propozycję nie do odrzucenia. – Skonkludował starając się zachować neutralny ton. - Wspólny wróg, czy ochrona w zamian za wierną służbę?

- Wspólny wróg.

Ksiądz podszedł do regału z książkami. Pogłodził okładkę jednego, bardzo podniszczonego dzieła. Uśmiechnął się mimowolnie.

- Nadal fantastyka? – Spytał jakby lekko łamiącym się głosem.

- Nadal poważna literatura? – Weiss wypowiedział te słowa, zanim na dobre pojął ich treść. Jemu również użyczyło się to dziwne uczucie, coś jak wspomnienie dzieciństwa, wyciskające łzy i piękne jednocześnie. Prychnął jednak szybko i niezręcznie zmienił temat. – Może powiedziałbyś mi coś łaskawie o tym wspólnym wrogu?

- Wiesz tyle ile powinienes. Jak dla ciebie, może on być nawet elfem podróżującym w czasie. Wszystko jedno.

- Co konkretniej miałbym zrobić?

- Dać się złapać. A później zniszczyć ich od środka.

Za oknami zaczął siąpić deszcz. Gdzieś w oddali rozbłysły pioruny, grzmot ślamazarnie, z prędkością dźwięku rozchodził się w powietrzu. Weiss uśmiechnął się, a jego spojrzenie nabrało dziwnego wyrazu. Od teraz znów był łowcą, znów tworzył idealny projekt. Znów miał zadanie do spełnienia. Czekala go długa noc.

On jest fascynująco głupi. Obrzydliwy w swej prostocie. Niestychany. Chce uchodzić za kogoś kim nie jest i to przede mną, głupiec i obłudnik. Dobrze, że mi go zeszali, oj dobrze. Znaczy to, że plan zadziałał tak jak powinien. Siedzimy teraz naprzeciwko siebie, zupełnie obcy. On niedługo mnie pozna, przynajmniej tak sądzi. Nie wie, że mnie nie da się zrozumieć, że tym razem role się odwrócą. To będzie najprawdopodobniej jego ostatnia przygoda, ale za to w jakim stylu zrealizowana! Będzie miał okazję się

sprawdzić, zmierzyć oko w oko z potworem. A gdy zbliży się do klatki otumaniona i potulna bestia pokaże pazury. Zaczniemy zabawę! Muzyka!

Siedzimy naprzeciwko siebie, a żar leje się z nieba. Nowoczesność najwyraźniej nie przedostaje się przez mury więzienia, bo gdyby było inaczej to zainwestowaliby chociaż w klimatyzację. Ten jeden wiatrak nie przynosi żadnego ukojenia. Szkoda. Zimno utrzymywane na odpowiednim poziomie daje poczucie czystości i sterylności. Ja nienawidzę go tak samo jak upału, jednak niektórym ludziom taki lodówkowo-supermarketowy klimat odpowiada. Nie mogę pozwolić aby jakiegokolwiek niedogodności wpłynęły na moje zachowanie.

On jednak odczuwa dotkliwie skutki globalnego ocieplenia. Wielki, poważny pan w ciepłym, eleganckim garniturze. Zdjął z siebie co tylko mógł, a nawet i to mu nie pomogło. Siedzi, patrzy i nie mówi. Obserwuje. Prawie go żaluję i doprawdy resztkami silnej woli powstrzymuję się od powiedzenia mu, że jest ślepy, a tak w ogóle to patrzy nie na to co potrzeba. Trudno. Niech mnie rozgryza.

Widzę jak jest mu niewygodnie, chociaż chowa to pod maską profesjonalizmu. Wyciągnąłby się najchętniej na jakiejś pięknej plaży i popijał wątpliwej jakości napoje przez cieniutką plastikową słomkę. Wydaje mu się, że siedzi spokojnie, nie zdradza swojego zaangażowania. Jest w błędzie. To ja siedzę spokojnie, tak spokojnie jak tylko można. I patrzę, przewiercam go spojrzeniem pustym i pozbawionym emocji. Nawet trup nie potrafiłby zachować takiego bezruchu. Widzę jak jego myśli się kłębią, jak próbuje mnie podejść, wybiera różne warianty. Ułatwię mu te zadanie.

„Tak, to ja zabiłem.” Te proste słowa wystarczyły. Trzeba było je połączyć z nagłą żywiołową reakcją w postaci zmiany sposobu patrzenia i kombinacją poważnego, pustego głosu. Efekt był porażający, tak jak można było się spodziewać. Nie mogę pohamować śmiechu patrząc na jego bezradną i zagubioną minę. Grajmy dalej!

„Widzę, że asan dziś jakoś nie rozmowny. A to ci zabawna sytuacja, miał gadać – zabrakło języka w gębie.” Teraz nuta ironii, cyniczny uśmiech. Ech, troszkę za dużo emocji, wystudzam więc swoje gesty, wracam do stanu wyjściowego. On milczy. Jego mina wskazuje największe zadowolenie, w swoim małym mózdzku uroił sobie najwyraźniej, że odniósł sukces. Poczciwy głupiec.

„Milczy. Zechciałby pan wysłuchać? W końcu za to panu dają te liche judaszowe srebrniki. Podłe zajęcie. Brać pieniądze za słuchanie ludzi i pieprzenie trzy po trzy o tym jak mają żyć. Lecz ja nie o tym...” Robię krótką przerwę, on coś notuje w małym bloczku kartek, gestem nakazuje mi kontynuowanie. Udamę zmieszanie, po chwili osiągam idealny stan obojętności. Mój głos staje się pusty i zimny, informacje których udzielam są fachowe i rzeczowe. Sam niczego nie sugeruję, sam niczego nie dopowiadam, mówię tak jakbym miał na myśli nie siebie a kogoś innego.

„Godzina była późna, piękna, rzekłbym cudowna. Idealna. I nie musiałem robić więcej ponad to co zaplanowałem, a zaplanowane było to w stylu minimalistycznym. Nie miałem wiele zajęć, zbyt długo przygotowywałem się, za wiele razy analizowałem wszelkie warianty, byłem nazbyt gotowy. Teraz został mi już tylko ostatni krok. Cudowne uczucie, zupełna kontrola i pełna świadomość swojego działania. Szczegóły znacie dość dobrze, przejdę do rzeczy. Zabiłem. Tak po prostu. Związałem, patrzyłem jak zupełnie bez emocji przyjmuje to co dla niej przygotowałem. Nie żałowała za swoje winy, nie zaznała więc oczyszczenia. Jej wybór, jej sumienie, nie mój osąd. Odkręciłem gaz, nie zapukał nikt na czas...” Pozwoliłem sobie lekko zanucić. Zakończyłem to urywanym parsknięciem, po czym natychmiastowo acz stopniowo wyzbyłem się jakichkolwiek emocji.

„I nigdy pan nie miał wyrzutów sumienia? Uważa pan, że była warta aż takiego zachodu, aż takich przygotowań? Czy ktokolwiek ma prawo decydować o życiu innych?” Odezwał się bodaj pierwszy raz. Jego głos był o dziwo spokojny, rzeczowy, powiedziałbym nawet – intrygujący.

„Nie, ona nie była warta takiego zachodu. Nie ona. Ja dałem jej ogień. On pali i oczyszcza, ja dałem jej szansę na ekstatyczną kąpiel, na jedyne w swoim rodzaju zrozumienie i zaakceptowanie. Ona odrzuciła to w szczeniackim buncie, w jej oczach nie było nawet odrobiny strachu. Jedyne buta. Kto mieczem wojuje, od miecza ginie. Współczułem jej szczerze, bardzo szczerze. Do ostatniej chwili miałem nadzieję, lecz ona nie dawała żadnych, ale to żadnych znaków chęci odpokutowania. Biedaczka. Kiedy czytałem listę jej ofiar, kiedy pokazywałem jej portrety ona tylko śmiała się w głos. To bardzo, bardzo przykre.”

„Czy w takim razie, gdyby przyznała się do błędu i żałowała za GRZECHY uznałby pan jej zadośćuczynienie i puścił ją wolno?” Rozmowa zmierzała w bardzo precyzyjnie wymierzonym kierunku. On sądził, że jest to jego dzieło, ja natomiast wiedziałem, że miota się na smyczy trzymanej przeze mnie. Zaakcentowanie grzechów, zjedziemy zaraz na religię.

„Nie, absolutnie. Kara musiała ją spotkać, to było nieuniknione. Pan nie rozumie? Ja nie zabiłem człowieka, ja zabiłem ideę, podejście do życia. Ja zadałem kłam ludziom podającym się za wszechmocnych, panom życia i śmierci. Ja im pokazałem, że sami są śmiertelni. I że poza katami ludzi istnieją kaci bogów. Nie istnieje coś takiego jak grzech. Umarł wraz z innymi pojęciami niewygodnymi i skomplikowanymi. Jestem miłosierdziem bez sumienia i duszy. Dałem jej szansę, doprawdy dałem! Ale ona, och głupia! , odrzuciła ją. Mogła umrzeć w rozkoszy pełnej świadomości, mogła się pławić w niszczeniu swej słabości. Nie chciała. Drugiej szansy już nie dostanie.” Pozwoliłem sobie na większą niż zazwyczaj dawkę gestykulacji, rzuciłem kilkakrotnie rozgorączkowanym spojrzeniem dookoła. To chyba wywołało zamierzony efekt. Rozmowa najwyraźniej zmierza do punktu kulminacyjnego.

„Rozumiem pana... Chcemy dla pana jak najlepiej, czy zechciałby pan poddać się rutynowemu badaniu?” Za wcześnie, biedaczku, za wcześnie! Twój przyjacielski ton aż ocieka sztucznością, nikt z was nie jest w stanie mi pomóc. Nikt. A to z prostej przyczyny, ja nie potrzebuję pomocy.

„Wy? Wy nie rozumiecie. Zrozumielibyście gdybyście byli mną, gdybyście własną ręką podkładali ogień pod całopalną ofiarę, gdybyście patrzyli przez następne półtorej godziny na budynek trawiony ogniem, gdybyście słyszeli kojący szum płomieni, trzask palonych materiałów. Gdyby wasze płuca wypełnił swąd palonego plastiku, a czerwona luna i tak cudowne, nieziemsko piękne piekło wryło się w waszych mózgach, wtedy moglibyście powiedzieć, że macie jakąkolwiek szansę zrozumienia.” Przerzywam, on notuje. Pewnie wynajduje mi wymyślne przypadłości, opisuje bardzo mądrymi i bardzo złożonymi słowami coś co jest oczywiste i nie wymaga głębszego komentarza. Taka jest jego rola, a moją rolą jest doprowadzić ten pokaz do końca. Mój głos staje się monotony, z każdego słowa zwieszają się grube sople. „A pan powinien zacząć od swojego podwórka. Zrozumieć, o wielki myślicielu, że nie tylko kokainą człowiek żyje. Wyczytać w mądrych książkach kiedy pańskie dzieci znowu trafią do szpitala skatowane przez własnego ojca, kiedy pańska żona będzie rozważała pójście na policję a pan zapewne będzie opłacał tanie dziwki. Wreszcie może popatrzeć na swoje długi, na swoją podłgę i miałą osobę. Spojrzeć w lustro, wytrzymać własny widok, tak, to wystarczające wyzwanie. Podoła pan temu?” Delikatny, szyderyczy uśmiech. On zamiera w połowie napisanego słowa, jego źrenice kurczą się, skóra czerwienieje i bladnie na przemian. Ręce zaczynają się trząść, a we mnie budzi się łowca. To radosne uczucie usidlenia, kojący widok strachu i bezradności oponenta. Ja siedzę i ledwo powstrzymuję kamienny wyraz twarzy, a on gotuje się, nie wie co zrobić, szarpie naglej burzy myśli.

„Co też...! Skąd?! Ale...!” Tylko tyle jest w stanie wykrztusić z zaciśniętego gardła. Nie wiem czy jest bardziej wściekły, czy przerażony, nie mam też pojęcia ile z moich strzałów było celnych. Sporo mogłem wywnioskować z jego zachowań, z jego wyglądu, drobnych gestów. Jednak część moich domysłów była jedynie wytworem chwili, improwizowaną sztuką zastraszenia.

„Niech pan pamięta, że sprawiedliwość osiągnie wszystkich. A ona będzie bardziej obiektywna niż ja. Teraz może pan wyruszyć do Ameryki, droga wolna!” Może zrozumiał aluzję, może nie. Rzucił tylko coś na pożegnanie, raczej nie było to nic miłego. Wyszedł roztrzęsiony. Wybuchłem niekontrolowanym śmiechem i nie potrafiłem się powstrzymać nawet wtedy gdy zakuwali mnie w kajdanki i prowadzili do celi. Odniosłem drobne zwycięstwo. Zamknęli za mną kratę, a ja bezwiednie usiadłem na pryczy. Teraz już wszystko przesądzone, nie ma odwrotu, ani nie mam też praktycznie żadnego wpływu na dalsze zdarzenia. Usnąłem głębokim snem pozbawionym jakichkolwiek wizji.

Patrzyłem, a oto wiatr gwałtowny nadszedł od północy, wielki obłok i ogień płonący oraz blask dokoła niego, a z jego środka promieniowało coś jakby połysk stopu złota ze srebrem. I to wszystko działo się w mej celi, gdzie mogłem zlokalizować ani kierunków, ani pory dnia. I nigdy nie miałem już ujrzeć świata za murami Ostatniego Więzienia, siedząc w samotności i płaczu deszczu. Ale oto pojawiło się przed moimi oczami to małe, świecące cholerstwo.

A było to dnia bliżej mi nieznanego.

Pośrodku było coś, co było podobne do... kota. Oto wygląd jego: miał on postać kotcia, sierść barwy smolistej, dwa łebki średniej wielkości, oraz ogon zdecydowanie zbyt długi, aby dało się go upchać w jednym wymiarze. Właściwie to było tu więcej ogona niż kota. Miał jeszcze skrzydła. A jego skrzydła były tak błoniaste, jak tylko błoniaste skrzydła może mieć kot. Wyskoczył więc Mruczuś ze światła.

I rzekł kot: Miau.

A w pierwszym pyszczku miał przedmiot srebrnej barwy, podłużny, z czerwonym przyciskiem pośrodku. A w drugim pyszczku miał zwój zapieczętowany, tfu, kartkę papieru, którą to szybko odczytałem.

I pogłaskałem Mruczusia, albowiem dobrą nowiną była wiadomość, którą przyniósł w swoim drugim pyszczku. Wziąłem od niego również przedmiot, barwy srebrnej i zważyłem go w dłoni. A Mruczuś zawiął ogonem i odleciał w światło. Po chwili wszystko znikło.

I wiedziałem, że w całym świecie, od Nilu po Tygrys, od Nowego Nowego Jorku po Warszawę. Od Ziemi po krańce galaktyki nie ma niczego pewniejszego nad to, że jestem zdrowo pierdolnięty.

Żelazna próżnia nieskończonej ilości wirtualnych cząstek wchodzących w skład kraty zaszurała o równie idealną pustkę podłogi.

Oni weszli. Dostali rozkazy. Zabić.

Weiss był już przygotowany. Nacisnął czerwony, pulsujący pod palcem przycisk i przygotował się na ponowne stworzenie.

Mikrosekundę później wszystko skąpało się w białym świetle. Wysokoenergetyczna fala oceanu pochłonęła każdy detal otoczenia. Omyła zdziwionych strażników, ostatni, szyderczy uśmiech Weissa. Nie zostawiła po sobie niczego. Żadne zabudowania nie przetrwały. Nim zabrzmiały pierwsze koguty karetek, nim policyjne syreny zaczęły wyć potępieńczą pieśń, bomba nowego typu, A-137, zebrała swoje śmiercionośne żniwo.

A resztki szyderczego uśmiechu Weissa ulatywały gdzieś w przestrzeń.

Siedzieli naprzeciwko siebie. Marek (już nie ksiądz, po prostu Marek) i Jakub. Byli w jakimś gabinecie, czy też raczej czymś, co można by było nazwać gabinetem przyszłości. Marek palił papierosa, a Jakub dopiero co odzyskał świadomość. Rozglądał się chciwie, chłonąc każdy detal otoczenia.

- Czyli ja nie żyję? Tak? – Jakubowi wydawało się, że ktoś mówi zamiast niego, używając jego własnego głosu.

- Teoretycznie tak. Jednak jak nie trudno zauważyć – nie.

Weiss nawet się nie zdziwił. Jeżeli tak miały wyglądać zaświaty, przyjmował je takimi, jakimi są. Marek zgasił jednego papierosa w popielniczkę, natychmiast chwycił w zęby kolejnego.

- Bo faktycznie umarłeś w tamtym wybuchu. Rozpieprzyło się na miliardy cząsteczek. Mimo to poskładali cię. Nie pytaj jak. – Marek wykonał rękami bezradny gest. Zapalił papierosa. – Nie jestem naukowcem, wiem tylko, że przenieśli wszystkie te cząstki w czasie o jakieś miliardowe części sekundy, a później użyli suchej teleportacji, aby cię przenieść. Kolejny, pieprzony cud nauki.

- A oni? Zabiłem ich?

- Przynajmniej większość. Nie będą już próbowali tego typu sztuczek. Długo dochodziłeś do siebie, minęło parę miesięcy. Ale czekanie się opłaciło. Gratuluję. Udało ci się, wykonałeś zadanie.

Marek wstał i uściśnął dłoń Weissa. W odpowiedzi Jakuba brakowało mocy, jeszcze nie wrócił do pełni sił fizycznych.

- A teraz chodź, wprawdzie nie rozmawialiśmy o zapłacie, ale przynajmniej należą ci się wyjaśnienia. Prawda?

Nie czekając na odpowiedź Marek podszedł do drzwi, wskazując Weissowi aby podążał za nim. Po minucie krążenia wąskimi korytarzami dotarli do hangaru.

W dole stały w równych szeregach dziwne, pudełkowate pojazdy. Wyglądały jak transportery, jednak Jakub był przekonany, że nie służą do podróży na Ziemi. Jego serce zmroził lodowaty dreszcz, który szybko powędrował wzdłuż kręgosłupa do tyłu głowy.

- Jako organizacja istniejemy od paru setek lat. Właściwie to nigdy nie byliśmy oficjalni i mało kto o nas wiedział. Naprawdę dbaliśmy o anonimowość, nie otaczaliśmy się żadną aurą tajemniczości. Po prostu byliśmy niezauważalni. Nie mieliśmy żadnego celu, skupialiśmy nam podobnych. Mało kiedy

wpływaliśmy na ważne wydarzenia historyczne, tak więc cały stos teorii spiskowych chcących umieścić nas w polityczno-zbrodniczym kieracie można włożyć między bajki. Nie istniał u nas żaden skomplikowany system kast, każdy robił to co umiał. Jedyne związki małżeńskie i planowanie potomstwa z osobami z poza organizacji było i jest zakazane. Niedługo zrozumiesz dlaczego.

Weiss stał się uosobieniem skupienia.

- Ważne jest też to, że niedługo po naszych narodzinach doszło do rozłamu. Powstały dwie niezależne frakcje, tępiące się bez litości. Ten bezsensowny konflikt trwa aż do dziś. Jego wielopokoleniowe ofiary krzyczą bezgłośnie o pomoc, ale nikt nie potrafi dojść do porozumienia. Niestety, potrzeba by było cudu, aby między nami zapanowała zgoda.

- Nie ma co, nasza rodzima, zaściankowa masoneria! – Rzucił Weiss z przekąsem.

- Nie mamy niestety niczego wspólnego z nimi. – Odparł Marek, wyraźnie smutniejąc. - Podobnie nie mamy ojczyzny, przynajmniej na dzień dzisiejszy jest ona dla nas stracona. Tak się składa, że przybywamy z daleka... Tak właściwie, to przybywamy z przyszłości.

Cisza jaka zapadła po tym stwierdzeniu była wręcz namacalna. Trwała tak długo, że można by było podejrzewać jakiś problem z jednym z naszych wymiarów czasowych. Weiss jednak przerwał ją, najpierw z wyraźnym trudem opierając się o ścianę, a później marszcząc czoło w zadumie.

- Live long and prosper – Weiss wykonał wolkańskie pozdrowienie z największym spokojem i powagą. Wracam na planetę matkę. Do zobaczenia w innej rzeczywistości.

Jakub wybuchł serdecznym śmiechem i skierował swoje kroki w stronę korytarza, z którego przyszli. Marek momentalnie zastąpił mu drogę, bez agresji i zbędnych gestów zatrzymał go w miejscu.

- Wiem, że nie uwierzysz. Nikt o zdrowych zmysłach by nie uwierzył. Możemy kłamać. Możemy być zwykłą bandą ćpunów i rozwiązywać swoje gangsterskie porachunki twoimi rękami. Zastanów się jednak czy jest to ważne. Zemściłeś się za Dawida. Przeżyłeś rozszczerzenie, widziałeś rzeczy, których nikt o zdrowych zmysłach nie byłby w stanie przyjąć do siebie. Czy nie możesz znieść ostatniej opowieści starego szaleńca?

Weiss zastanowił się przez moment. Cała ta sytuacja zdawała się sensowna. Mógł przyjąć, że wszystkie te niedorzeczne historie są tylko i wyłącznie metaforami, alegoriami zastosowanymi dla zaspokojenia artystycznego zmysłu rozmówcy. Skinął więc głową i słuchał dalej.

- Nasz rozłam opierał się o dość ważną kwestię. Od kiedy odkryliśmy sposób na podróżowanie w czasie zadawaliśmy sobie to samo pytanie. Czy przeszłość można zmienić? Jedyne logiczne wyjaśnienie było przyjęcie, że każda zmiana w przeszłości powoduje wytworzenie alternatywnej linii czasowej i specyficznego dla niej układu zdarzeń. Tu znowu nasuwał się kolejny problem – co należy uznać za zaburzenie przeszłości. Przykładowo – nasza obecność w czasach odległych jest na tyle marginalną kwestią, że można ją uznać za szumy tła. Wszechświat sam skoryguje zaistniałe odkształcenia. Modyfikacja świata na poziomie materialnym, możliwym do sprostowania przez czynniki naturalne też można zignorować. Jeżeli zbudowalibyśmy lepiankę, zaczęli badać powierzchnie innych planet, czy sadzić drzewa, natura mogła by obrócić w niwecz nasze działania. W efekcie wszechświat by nie ucierpiał. Jednak zabicie człowieka, rozpoczęcie wojny i inne aż tak ważne kwestie poważnie naruszają

strukturę czasu. Jest to świetny pretekst do zabawy w Boga.

Weiss pokiwał głową ze zrozumieniem. Zupełnie nie akceptował i nie uznawał za prawdziwe słów, które słyszał, jednak musiał docenić ich logiczne powiązanie.

- Początkowo wyruszyliśmy jako statek badawczy, jeden z wielu wysłanych w misji pierwszych podróży w czasie. Niestety po przekroczeniu bariery straciliśmy kontakt z bazą. Wróciliśmy do domu – na orbitę Ziemi, tyle że wiele wieków za wcześnie. Postanowiliśmy nadal kontynuować misję badawczą i czekać na rozwój zdarzeń. Nasz statek był przystosowany do praktycznie nieskończonej długości podróży, wiele pokoleń mogło na nim rodzić się i umierać. I pewnie żylibyśmy spokojnie, gdyby nie buntownicy. To oni postanowili naprawić to, co uznali na Starej Ziemi za niepoprawne. Uwierz, że historia, której nas uczyli wyglądała zupełnie inaczej, niż historia, którą znacie wy. I wcale nie jest ona gorsza. Buntownicy przecenili swoje umiejętności i spartaczyli robotę. My natomiast wyruszyliśmy za nimi w pościg i starając się nie ingerować w zastaną rzeczywistość, niwelowaliśmy destruktywne skutki ich działania. To była, jest i będzie syzyfowa praca.

- Wszystko to jest piękne, ale nadal nie powiedziałeś nic o Wspólnym Wrogu. – Weiss przerwał ten monolog. Historia przestawała mu się podobać, była banalna i głupia jak tani film sci-fi. Wolał usłyszeć jakieś konkrety, a nie bawić się w czcze dywagacje na temat istnienia zdarzeń równie fantastycznych jak potwierdzenie istnienia krasnoludków. Poza tym nie miał sumienia zmuszać ludzi do tak długich monologów.

- No widzisz... W naszej rzeczywistości, około dwudziestu lat przed wyruszeniem statku doszło do ataku obcej cywilizacji. Okazało się, że stare ludowe podania o baśniowych stworach mają w sobie ziarnko prawdy i że istnieje coś podobnego do elfa. Ponadto na Ziemi jak i w przestrzeni są miejsca, w których może dojść do połączenia naszego i ich świata. Ludzie początkowo byli zafascynowani. Kiedy Elfy przeszły do naszego świata rozpoczęło się piekło. Właściwie nie wiadomo dlaczego oni tak bardzo nienawidzili wszystkiego dookoła. Jedni mówili, że są to biomechaniczne twory, inni mieszały w to religijne czynniki, w każdym razie walka trwała dość długo, w rezultacie pozamykano wszystkie międzywymiarowe przejścia. Możliwe, że działanie renegatów przyspieszyło atak tej kosmicznej rasy na Ziemię.

- I chcesz mi powiedzieć, że jakiś spiczasto uchy skurwysyn zaszlachtował Dawida, a mnie zostawił bez szwanku? – Weiss nie ukrywał zażenowania. – Może jeszcze powiesz mi dlaczego to zrobił? Albo wiesz co, mam lepszy pomysł. Skończysz pieprzyć, puścisz mnie wolno, zapomnimy o sprawie i rozejdziemy się w atmosferze przyjaźni. Co ty na to, panie bajkopisarzu?

- Mogę powiedzieć tylko tyle, że wiem o twoich snach – Ksiądz uśmiechnął się, tak jak uśmiecha się w duchu zawodowy magik wiedząc, że w rękawie ma jeszcze pięć zapasowych asów. – I oni też zapewne o nich wiedzą.

Weiss zamrugał. Nie wierzył własnym uszom. To nie mógł być przypadek, nikt przecież nie wiedział o jego przypadłościach. Dotarło do niego, że może w całym tym szaleństwie jest jakaś metoda, może ta niedorzeczna bajka jest prawdą? Jego umysł zagotował się momentalnie i wykypiał falą nieokiełzanych myśli.

- Wizje których doświadczasz nie są niczym innym, jak tylko specyficzną formą uczulenia na zmiany w

czasoprzestrzeni i anomalie wywołane z ich przyczyny. Wszyscy dookoła powiedzą, że jesteś nienormalny. Będą o tobie pisać w ten sposób w gazetach, książkach, radio i telewizja też przekaże ten fałszywy werdykt wygłodniałym masom. Wiedz jednak, że jesteś w pewien sposób wybrany do zadania, jakie dla ciebie mieliśmy. Jesteś na tyle odporny, że stawiałeś im czoła.

Weiss milczał. Miał zdecydowanie dość. Jeżeli zwariował, to jak sam zauważył, w pięknym stylu. Została mu już ostatnia rzecz do zrobienia. Bez słowa podszedł do jednego z dziwnych pojazdów, stojących przed nim.

- Weźcie mnie ze sobą – rzucił na wpół świadom wypowiedzianych słów.
- Nie możemy.

Weiss obrócił się w miejscu. Jego oczy płonęły wściekłością. Poczul w sercu dziwne ukłucie żalu, nieopisaną stratę, której głównym winowajcą był stojący przed nim Marek. Chciał zrobić cokolwiek, rzucić się do walki lub ucieczki, działać, robić wszystko, żeby później nie żałować swej beczynności. Zdążył jedynie zobaczyć cień i poczuć delikatny, metalowy pocałunek na czole.

- Dlaczego? – Spytał cicho.

- Szkoda mi ciebie chłopcze, ale kto raz zobaczył statek, nigdy nie przestanie marzyć o wypłynięciu w pełne morze.

Amunicja czarnego glocka w krótkim akompaniamencie donośnego huku przebiła czaszkę Jakuba na wylot. Weiss padł a kałuża krwi rozszerzała się pod nim coraz mocniej. Marek stał przez chwilę nieruchomo, a gdy czerwień sięgnęła jego butów odwrócił się i odszedł.

- Sprzątnijcie.– Rzucił do jednego z techników.

- Tak jest, komandorze!

Wielkie, czarne „IV” na burcie opancerzonego transportera zniknęło pod okrągłą przysawką magnetycznych dźwigów dokujących. Mechaniczne szczęki zamknęły stateczek wewnątrz portu. Zapadła cisza.

Komandorze Retnov, witamy na pokładzie.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Rodion, dodano 17.09.2012 08:28

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.